



Zamiast recenzji

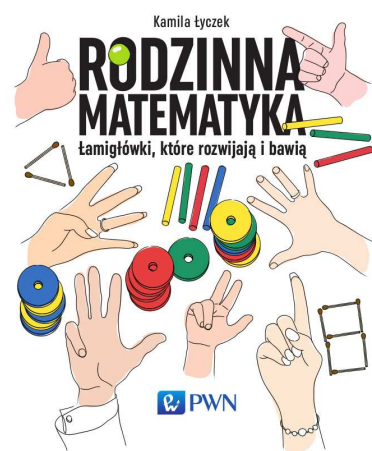
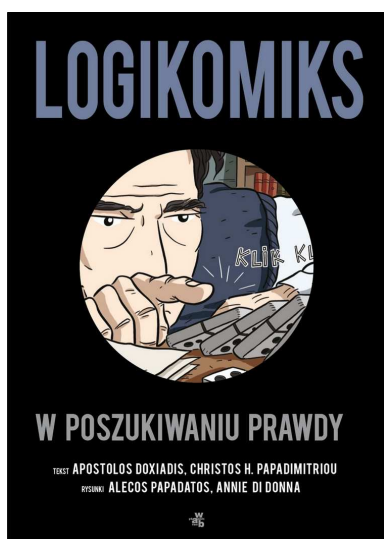
Habent sua fata libelli pro captu lectoris – ta złośliwa sentencja, orzekająca, iż losy, a może raczej znaczenie, jakie książki mają, czy sens, jaki w sobie niosą, zależy od poziomu percepcji czytających, może też być wskazówką dla autorów. Gdy żyje się w czasach triumfu wzniosłych idei i powszechnego kultu myśli i wiedzy, można śmiało pisać wysublimowane traktaty filozoficzne i natchnione liryki, a gdy czasy są upodlające i dogłębnie prymitywne, można epatować okrucieństwem, brutalnością i wszelką podłością, gdy wreszcie otacza nas bezsens i bylejakość, można epatować rokokowymi błyskotkami. Albo można pisać na odwrót – by odmienić świat, w którym nam przyszło żyć. Jak widać, zaplątałem się w próbach prostej interpretacji zmian w modach na książki.

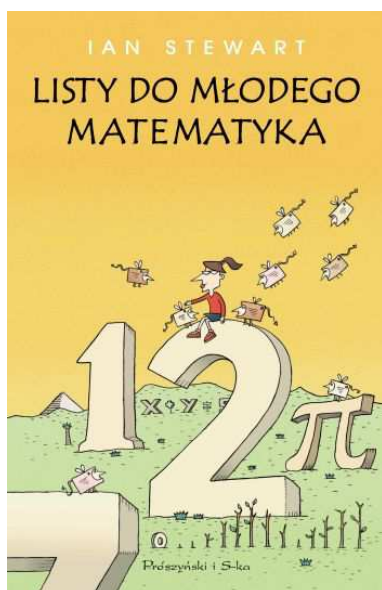
Ale przecież jest coś takiego, jak owe mody i wydają się one być wspólne dla wielkich formacji kulturowych. Tym, co mnie najbardziej skierowało ku rozważaniom na ten temat, było dostrzeżone zdanie (chyba w artykule Edwina Bendyka), że *pilot Pirx przegrał z Wiedźminem*. Faktycznie: osobiście mogłem asystować przy tym, jak *science-fiction* przeobraziła się w *fantasy*. Lema zastąpił Tolkien (by na jednym porównaniu poprzestać). Byłoby lekkomyślnością przypuszczenie, że nie jest to związane z różnicą w sposobie pojmowania świata między moimi rówieśnikami a ludźmi współczesnymi. Mniejsza już o to, w którą stronę przebiega tu implikacja.

Dlatego też z pewnym niepokojem patrzę na nową falę mody w pisaniu o matematyce. Gdy jeszcze nie uświadamiano sobie idącej fali wszechobecności matematyki w najdziwniejszych nawet zakątkach społeczności, gdy Tarski pisał – *Profani wypowiadają niejednokrotnie pogląd, że matematyka jest dzisiaj nauką martwą: osiągnąwszy niezmiernie wysoki stopień rozwoju, zastęła jakby w swej kamiennej doskonałości* (*Wprowadzenie do logiki*, 1936), matematykę owym profanom proponowano na dwóch rozłącznych poziomach. Z jednej strony próbowano ukazać jej strukturę i specyfikę jej metodologii – to dla tych, którym ich poziom intelektualny kazał uzupełniać własne wykształcenie o obszar matematycznego sposobu myślenia i pojmowania świata. Tu mamy *Co to jest matematyka?* Couranta i Robbinsa, *O liczbach i figurach* Rademachera i Toeplitza, bardzo już wyrafinowaną *Geometrię poglądową* Hilberta i Cohn-Vossena czy pozornie tylko błahy *Kalejdoskop matematyczny* Steinhausa. Z drugiej strony mieliśmy kuglarstwo mające odstresowywać gnębionych szkolną matematyką, a pozornie tylko dotykające matematyki, np. *Lilavati* Jeleńskiego czy *Rozrywki matematyczne* Kordiemskiego.

Czasy się zmieniły, społeczności przyznały sobie prawo do lekceważenia tzw. standardów intelektualnych (u nas np. padły *Problemy*) i do hołdowania najniższym instynktom (bujny rozwój tabloidów). Co bynajmniej nie oznacza ignorowania tego, co się wokół dzieje (jak radził Jaś Himilbach: *patrz w prawo, patrz w lewo, a dobrze na tym wyjdiesz*) – już niemal natychmiast po transformacji wiedzą powszechną (od członka PAN do zapitego menela) stała się świadomość, że fundamentem znalezienia jakiegokolwiek startu w życiu naszych dzieci jest znajomość angielskiego i windowsów. A ponieważ szkolnictwo państwowe nie reagowało na ten fakt, więc rozkwitły szkoły prywatne, na które społeczeństwo (bez przymusu!) przeznaczyło indywidualnie kwoty bliskie państwowym wydatkom na edukację.

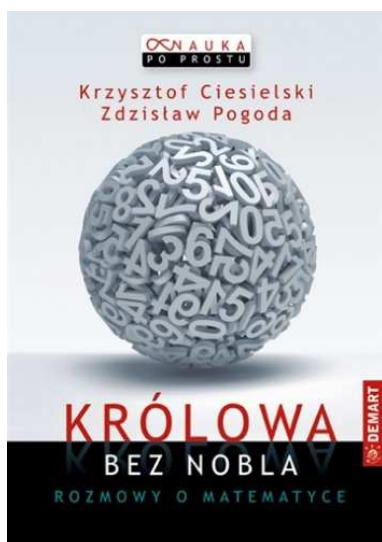
Dziś to się już wyrównuje, ale z kolei od kilku lat (nie więcej niż dziesięciu) do społeczeństwa dociera fakt, że nasze życie, także tzw. codzienne, przesycone jest matematyką. Oczywiście, nie w tym sensie, że tę matematykę znamy, ale poprzez fakt, że właściwie wszystkie struktury i urządzenia, którymi się posługujemy, są wdrożeniami modeli matematycznych (w tym akurat czasopiśmie nie muszę uzasadniać, że tak jest w istocie). Uświadomienie sobie tego przesylenia wywołało popyt na kontakt z matematyką i to tak intensywny, że w ostatnich latach wszystkie wydawnictwa rzuciły się na wydawanie książek związanych z matematyką – dla ilustracji powszechności zjawiska wymienię *Wydawnictwo Literackie* czy kartograficzny *Demart*.





Nie ukrywam, że choć fakt, iż run na książki mające objaśnić matematykę powinien cieszyć, mnie napawa on niepokojem i dlatego nie chcę pisać recenzji – zamiast tego spróbuję ten niepokój objaśnić.

Gdy myślę o upowszechnianiu matematyki, chodzi mi o dwa aspekty tego potrzebnego działania. Pierwszy bierze się z oczywistej refleksji o różnych potrzebach w tym zakresie. Pojęcia matematyki i powstawanie jej twierdzeń to wiedza niezbędna tym, którzy tworzą matematykę i budują za jej pomocą modele matematyczne wszelakich zjawisk – ale tych ludzi jest mniej niż jeden promil. Znacznie szersza jest rzesza tych, którzy twierdzenia matematyki znają w takim stopniu, w jakim jest to niezbędne do uzyskania sprawności rachunkowej i algorytmicznej – to ludzie wdrażający owe modele matematyczne we wszystkie dziedziny życia i kontrolujący ich funkcjonowanie. Ale ich jest też nie więcej niż 10 procent. Reszta społeczności natomiast z owych modeli (chcąc, nie chcąc) korzysta. Im nie jest potrzebna znajomość wymienionych wyżej aspektów matematyki, ale (by owo korzystanie było bardziej efektywne) matematyczne myślenie, tak jak do korzystania z muzyki niezbędny jest słuch (tu wielu może zakrzyknąć, że do korzystania nie z każdej muzyki słuch jest niezbędny, a nawet wskazany – istotnie, ale o tym dalej). Patrzę więc na literaturę okołomatematyczną pod kątem, jak pomaga kształtować matematyczne myślenie – tu niedościgłym mistrzem był Martin Gardner.



Drugi aspekt myślenia o upowszechnianiu matematyki (czy, w ogólności, wiedzy) to problem „uchachania”. Panuje przekonanie, iż najlepszą drogą do wiedzy jest zabawa. Stąd wzrastająca oferta zabaw okołonaukowych i nawet powstawanie centrów tego rodzaju rozrywek. Tu, moim zdaniem, grozi skuteczne odrzucenie od nauki ewentualnych chętnych, a to z tego powodu, iż uprawianie nauki, aktywne w niej uczestnictwo, to ciężka praca, wymagająca zaangażowania całego potencjału sił życiowych, jakie w sobie mamy. Gdy więc przekonamy młodego człowieka, że nauka to taka fajna rozrywka, jego pierwsza próba podjęcia pracy w tym zakresie może być bliska wpadnięciu na betonową ścianę. Nieprzekonanym proponuję zauważenie, że już raczej nierozrywkowa nauka szkolna powoduje u wielu podobnie rujnujące wrażenie przy wstąpieniu na studia.

Ale może niesłusznie marudzę? W jednej książce przeczytałem (jak Charlie Partana), że byłem maoistą. Skoro tak, to za przewodniczącym Mao powiem: *niech zakwita sto kwiatów!* Przecież – jak widać – z jednej strony mamy 4 Muzyczki Góreckiego, z drugiej *Czarodziejski flet* Mozarta czy *Piotrusia i wilka* Prokofiewa. Jedni mają festiwale moniuszkowskie, drudzy *Filharmonię dowcipu* Malickiego, jeszcze inni koncerty Maryli Rodowicz, kolejni *Dziadka do orzechów* Czajkowskiego, czy wreszcie imprezy z disco-polo.

Byleby tylko ta różnorodność nie zanikła.

Marek Kordos

